

Śrubka na pożegnanie

Zmarła 24 listopada wybitną reżyser i wieloletnią dyrektorkę Poznańskiego Teatru Lalek i Aktora „Marcinek” Leokadię Serafinowicz wspomina impresario Krzysztof Deszczyński, aktor „Marcinka” w latach 1968-1982

Poznałem Leokadię Serafinowicz w sierpniu 1968 roku. We wrześniu rozpocząłem pracę w zespole artystycznym Poznańskiego Teatru Lalki i Aktora „Marcinek” w charakterze adepta. Od momentu kiedy poznałem powyższy wiersz z Piwnicy pod Baranami, chciałem Pani Dyrektorkę ten tekst powiedzieć. Dla żartu.

Mieliśmy przy św. Marcynie teatralny klub. Grywał tam Jerzy Milian, autor muzyki do musicalu „Tygrysek” H. Januszewskiej. Opijaliśmy tam premiery. Witaliśmy gości z całego świata. Po każdym powrocie z zagranicznego tournée opowiadaliśmy kolegom, dziennikarzom, przyjacielom teatru jak było. Żarty. Anegdoty. Było wesoło i miło. Antek Kończel śpiewał słynną „Inez” Pawлуskiewicza, Alek

Pawłuśki parodiował siebie: chórzystę z opery. A ja ciągle marzyłem, żeby powiedzieć wierszyk „Leokadia”. Byłem wielokrotnie bliski tego momentu. Im dłużej byłem w teatrze, im dłużej znałem panią Leokadię, tym trudniej było z decyzją. Wiedziałem, że lubi żartować. Że ma duże poczucie humoru. Jest skora do zabawy.

Była dumna, że Jej zespół tańczy, śpiewa i stepuje na przeróżnych spotkaniach towarzyszących festiwalom na całym świecie. Nawet była podekscytowana krótkimi, a czasami burzliwymi romansami, które wybuchały między członkami świeżo spotkanych zespołów aktorskich. A jednocześnie wierzyła, że Jej aktor w czasie próby „Wesela” Wyspiańskiego, mówiąc tekst: „ogniem pierną, ogniem błysną!”... puścił baka i to głośno. Wierzyła w to święcie. Opowiadała ten tekst jako anegdotę, towarzyszącą próbom do premiery „Wesela” w scenografii J. Berdyszaka, z muzyką Z. Bujarskiego. Henryk Jurczak grał Wojtkę. Próbę mieliśmy w garderobie. Stara kochana garderoba przy św. Marcynie. Podłoga lśniła mahoniową pastą. Heniu siedział na podłodze i mówiąc tekst o Wernyhorze, jak to ogniem pierną, poruszył nogą. Pociągnął podeszwę po mahoniowej paście i efekt był bezwonny, acz piorunujący. Uwierzyła i koniec. Taka była.

Szanowana w środowisku, elegancka, znała francuski. Nie przeklinała. Nie pamiętam, by jakieś niecenzuralne słowo wyrzuciła z siebie w chwili wzburzenia. Ale też nie gor-

szyła się, gdy ktoś rzucił „wiązanek”.

Ostatnie próby „Wesela”. Ustawianie świateł. Późna godzina, wszyscy zmęczeni. Aktorzy trzymaniem lalek, realizatorzy oporem materii. Serafinowicz i Berdyszak świadomości naszego zmęczenia, mimo wszystko ciągle szukają odpowiedniego światła. Lalki były zrobione ze słomy, białe okotowanie. Trudna ekspozycja. Trochę światła i wszystko jasne. Nasz elektryk Stanisław Sabiniewicz to był mistrz. Mistrz od światła i poczucia humoru. Powtarzał ciągle: „Lenin mówił, że najważniejsza jest elektryfikacja, bo elektryfikacja to postęp”... Tak zwanych punktów świetlnych w naszym starym Marcinku było mało. Stara nastawnia na tyrystorach. Nagła zmiana światła, marzenie inscenizatorów, była niemożliwa do wykonania. Pani dyrektor z głębi mrocznej, oświetlonej tylko małą lampką widowni, woła: „Panie Stasiu, jeszcze niech Pan zapali po prawej stronie, tam na Rachelę”... cisza..., światło nie wchodzi. Pani dyrektor powtarza prośbę. My na scenie słyszymy sapanie Stasia, który okrążył był. Berdyszak woła „Stasiu na Rachelę”. Stasiu sapie, zsuwa się



Leokadia Serafinowicz z Romanem Kordzińskim i Henrykiem Jurkowskim

powoli po stromej drabinie z nastawni na scenę. Wchodzi na nią i swoim charakterystycznym tenorem mówi „Co? Jeszcze jedną? Chyba sobie w d... wkręć!” Koniec próby. Żart udany. Wszyscy w dobrych humorach opuszczamy teatr.

Byliśmy kiedyś w Wielkiej Brytanii. Cały miesiąc z „Don Kichotem” wg Cervantesa. Graliśmy w małym miasteczku w północno-wschodniej Walii o nazwie Mold. Mold to ośrodek administracyjny hrabstwa Flintshire. Królowa Wielkiej Brytanii zbudowała w tym miasteczku supernowoczesny teatr. Mamy rok 1978 lipiec i teatr, w którym komputer decyduje, kiedy zapala się reflektor i który oraz kiedy w głośnikach pojawia się dźwięk. To był

koszmar. „Bianko” i „najn” sromotnie przegrało z techniką. Leokadia Serafinowicz nie mogła zrozumieć, jak można spektakl teatralny zapisać w komputerze na podstawie czasu trwania przedstawienia. Wprowadzanie danych do komputera trwało wieczność. W rezultacie graliśmy bez próby. Nasz brak znajomości współczesnej, nowoczesnej techniki zjadł nam wszystkie nerwy. W czasie spektaklu światło pojawiało się nie w tym momencie gdzie zawsze. Muzyka wchodziła nie wtedy, kiedy miała się pojawić. W tym świecie Serafinowicz i Sabiniewicz, którzy mogli sobie wszystko powiedzieć, byli przegrani. Właśnie w takiej atmosferze po przedstawieniu, rozmawiałem

z Sabiniewiczem o Leokadii. Chciałem ten tekst powiedzieć, by zmienić nastrój. Przejść w nasz świat tyrystorów i śrubek. Mówił: „Krzyś, wał śmiało. Dyrektorce też się jakiś żart należy”. Nie powiedziałem. Nie powiedziałem nigdy. Im byłem starszy, tym bardziej świadom wielkości Leokadii. Szacunek do artysty, mojego przewodnika po świecie sztuki teatralnej i świecie w ogóle. Gdy dowiedziałem się, że Leokadia Serafinowicz umarła, pomyślałem, że to ostatnia szansa, żeby powiedzieć „ja Ci śrubkę wkręcę w radio”, no to mówię...

„Mej miłości chcę Ci dać próbkę / Stoję w oknie, błagam Cię nocą / Ach pozwól w radio wkręcić Ci śrubkę / Sam nie wiem po co”.

„Leokadia”

Ja Ci śrubkę wkręcę
w radio, ach Leokadio!

Ale czy czyn ten sens
miałby

Nie wiem, choć
chciałbym.

Nie wiem, czego dotyczą,
te zwrotki,

Nie wiem czemu
śpiewam je czule.

Leokadio, Ty masz
nagniotki,

Leokadio, ja mam
prymule!

Mej miłości choć Ci dać
próbkę,

Stoję w oknie, błagam
Cię nocą:

Ach, pozwól w radio
wkręcić Ci śrubkę,

Sam nie wiem po co...